ISSN 2083-8972

Seminarium *Mity ponowoczesnej Europy* **– głos w dyskusji**

KONRAD REJMAN

Wspólnota niedokończona. O ponowoczesnym projekcie bycia razem

Nie tyle teoretyczne rozważania o wspólnocie są dla nas trudne, co wspólnota na poziomie praktyk codzienności, forma jako zmaterializowanie teorii. Jakże często pragniemy być po prostu sami, jak często wytrąca nas z równowagi obecność innych ludzi: w kolejce, w autobusie, wszędzie. Obecność drugiego człowieka wymaga koncentracji, nieustannego bycia „tu i teraz", tak przez cały dzień i kolejne dni tygodnia. Samotność jawi się jako najbardziej pożądany, a zarazem najtrudniej osiągalny stan: ucieczka przed codziennością nasyconą filiacjami. Tak, ta sama samotność, której przecież tak mocno się obawiamy, zwyczajowo nas przerażająca, której przygnębiające oblicza tak sugestywnie przedstawiają nam dzieła kultury.

Ale wspólnota wcale nie jest lepsza! Nakłada na nas zobowiązania, których w zasadzie nie chcemy, domaga się wzięcia odpowiedzialności za wszystkich jej członków i za przyszłość jej samej. Powiedzmy wprost, życie wewnątrz wspólnoty jest trudne, to „życie dla wspólnoty", a takie oznacza rezygnację (jako pewną niezbędną umiejętność dla współdzielenia przestrzeni życiowej, emocjonalnej) i podporządkowanie (choćby częściowe; podporządkowanie, czyli dedykowanie siebie celom wspólnoty).

Pomimo tych wszystkich niedogodności trudno jednak nie zgodzić się z Baumanem, kiedy stwierdza: „Wspólnota to obecnie inna nazwa raju utraconego – do którego mamy jednak nadzieję powrócić, a więc gorączkowo szukamy dróg mogących nas doń doprowadzić"[1]. Szukamy będąc trochę w stanie schizofrenicznym. Wspólnota wymaga od na poświęceń, ale często wydaje nam się, że jest ich zbyt dużo, trudno nam funkcjonować w takim zagęszczeniu, dlatego tak łatwo przychodzi nam myślenie o „oddzieleniu". Samotność wciąż wydaje się taka atrakcyjna, kiedy jest odległa. Gdy już się zjawia, wywołuje niepewność. Okazuje się bowiem, że nie posiadamy dłużej umiejętności – tak ważnej dla starożytnych filozofów –

[1] Z. Bauman, *Wspólnota. W poszukiwaniu bezpieczeństwa w niepewnym świecie,* Wydawnictwo Literackie, Kraków 2008, s. 8.

bycia „sam na sam" ze sobą. Panikujemy. Nie od razu przyznajemy przed sobą, że brak nam tego wyjątkowego uczucia „współdzielenia": przestrzeni, myśli, aktywności. Poszukiwania rozwiązania – przeciwśrodka – zaczynamy dość niefortunnie. Pierwsze, co przychodzi nam do głowy, to konsumpcja, ten ponowoczesny lek na samotność[2], niepewność i rozterki, który – co już nas tak nie zdumiewa – przynosi dobre rezultaty. Czyż w nowoczesnych galeriach handlowych nie odnajdujemy tak poszukiwanego stanu współdzielenia? Dzielimy przecież z innymi kolorową przestrzeń galerii, spotykamy zwolenników tego samego rodzaju aktywności – kupowania. I czy nasze myśli, nas wszystkich będących w tym miejscu, nie biegną w jednym kierunku? Jednakże konsumpcja to tylko rozwiązanie doraźne. Nie sięga do istoty naszych problemów, do „struktur głębokich".

Zachwiane bezpieczeństwo ontologiczne

Niepewność, niepokój, nieprzewidywalność. W tych słowach można streścić to, co serwuje nam współczesność, nieważne, czy określimy ją jako ponowoczesność, późną nowoczesność, nowoczesność czy jakkolwiek inaczej. Spiętrzenie i współwystępowanie niepokojów powoduje utratę pewności, że „z życiem sobie poradzę". Przekonanie, że „życie mnie nie przerośnie", jest przecież niezbędne, żeby sprostać codziennym wyzwaniom. Tymczasem współdzielimy raczej doznanie zachwiania bezpieczeństwa ontologicznego[3], kiedy nie znajdujemy oparcia w naszych strukturach głębokich. To doznanie wydaje się kluczowe. Uświadamiamy sobie wówczas, że wspólna konsumpcja to nie wspólnota, że świat chwilowych doznań, krótkotrwałego znieczulenia jest pozbawiony fundamentów, a tym samym jest zbyt kruchy, żeby przetrwać. Zdaje się, że wiemy, co robić dalej, wiemy, czego potrzebujemy, a potrzeba nam świata, którego trwałości nie można zakwestionować.

Znamy z socjologii kategorię „wspólnie akceptowanego centrum". Aby możliwe było powołanie „realności względnie trwałej", musi istnieć pewien rdzeń, coś, co jest niekwestionowalne dla nas wszystkich. Jakieś minimum, co do którego wszyscy się zgadzamy. Jeśli zatem mówimy o „strukturach głębokich", o „bezpieczeństwie ontologicznym", to aby znaleźć to, co stanowić może wspólnie akceptowane centrum, musimy dojść do samych źródeł.

Kiedy wewnątrz wielkiego projektu polityczno-ekonomicznego, jakim jest Unia Europejska, pojawia się kryzys, należy mu przeciwdziałać. Każdy kryzys potencjalnie zagraża trwałości i ciągłości Europy jako wspólnoty. Podkreślanie powiązań politycznych, administracyjnych, ekonomicznych, prawnych okazuje się nie być

---

[2] Być może powinniśmy używać słowa „osamotnienie"; w kontekście filozoficznym „samotność" jest stanem raczej pożądanym, a przynajmniej neutralnym.

[3] Przywołuję tutaj teorię strukturacji Giddensa. Bezpieczeństwo ontologiczne jest w niej związane z przewidywalnością codziennej rutyny, która z kolei pozwala uzyskać i ugruntować poczucie realności świata. Stąd bierze się zdolność „radzenia sobie". Zob. A. Giddens, *Nowoczesność i tożsamość. Ja i społeczeństwo w epoce późnej nowoczesności,* Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2006.

wystarczającą, adekwatną reakcją. To za mało. Szukamy więc dalej i głębiej. Żeby przeciwdziałać, eksponujemy myśl, że Europa jest przede wszystkim wspólnotą wartości. I tu zaczyna się wielka dyskusja, czy rzeczywiście tak jest? Jakie wartości promuje zatem Europa? Co do których wartości się zgadzamy, że są nam wspólne? Co chcemy pokreślić manifestując przywiązanie do takiej czy innej aksjologii?

Hans Joas w książce *Kulturowe wartości Europy* proponuje za wspólne uznać:

- wolność,
- różnorodność,
- racjonalność,
- życie wewnętrzne,
- szacunek dla zwykłego życia,
- samorealizację[4].

Nie będziemy tych poszczególnych wartości omawiać. Nie to jest naszym celem. Zamiast tego przyjmijmy, że wszyscy je rzeczywiście podzielamy, zgadzamy się co do ich hierarchii i zasadności. Uruchommy zatem myślenie, zbadajmy, jaki rodzaj wspólnoty może się wyłonić, kiedy oprzemy ją na takiej podstawie.

Szklana kula, czyli wspólnota oswojona

Wyobraźmy sobie zatem przestrzeń zamkniętą w szklanej kuli – na wzór popularnych pamiątek z podróży. Przestrzeń ta jest fizycznie i mentalnie ograniczona. Łatwa przez to do opanowania, poznania. Jeśli żyjemy w tego typu przestrzeni, żadne nasze doświadczenie, rutyna pomagająca nam oswoić i zapanować nad codziennością nie znajduje się na zewnątrz. Wszystko co ważne: rytuały, symbole, strategie interpretacyjne stanowią „znaczeniowe wewnątrz". Wszystko dzieje się w środku szklanej kuli. To, co poza nią, nie stanowi elementu świadomości, poniekąd zatem nie istnieje. Egzystencjalne bezpieczeństwo w żaden sposób nie może być zagrożone, nigdy nie było nawet zachwiane. Poruszamy się fizycznie, emocjonalnie, intelektualnie wśród doskonale znanych nam miejsc i ludzi. Przekonani o skończoności. Rzeczywistość jest skończona. Nie rozwija się, nie zmienia, nie przekształca (czy na pewno?), dlatego jest źródłem poczucia bezpieczeństwa. Jakże wdzięczni za to jesteśmy. Współdzielenie w szklanej kuli jest łatwe, przyjemne, wiemy, co dajemy i co otrzymamy. Skończoność i przewidywalność – dwa fundamenty naszej wspólnoty. Zakładam tutaj, że taka struktura jest niejako pierwotna względem innych doświadczeń, np. indywidualizmu; ten musi dopiero zaistnieć. Wspólnota poprzedza inne praktyki.

Ten typ wspólnoty, tak łatwo dającej się oswoić, niesie za sobą pewne konsekwencje. Jedną z nich jest domniemany brak pojęciowej i fizycznej obecności Innego. Inny nie istnieje (zdaje się nie istnieć) jako definicja, żadne teorie na jego temat nie są potrzebne, ponieważ nigdy nie objawił się jako podmiot rzeczywi-

[4] H. Joas, *Kulturowe wartości Europy. Wprowadzenie,* [w:] *Kulturowe wartości Europy,* red. H. Joas, K. Wiegandt, Wydawnicto IFiS PAN, Warszawa 2012, s. 11–33.

stej symetrycznej interakcji[5]. Ograniczanie swoich doświadczeń do tak zamkniętej czasoprzestrzeni prowadzić może do skrajnej identyfikacji ze wspólnotą i dalej do absolutyzacji kultury własnej, czyli do okoliczności, w których wymagane jest całkowite oddanie, podkreślanie wyższości kultury wyabsolutnionej[6]. Absolutyzacja kultury własnej jest procesem tyleż niepożądanym co nieuniknionym.

Będąc wewnątrz wspólnoty, nie dostrzegamy od razu negatywnych skutków jej wyabsolutnienia. Ale jeśli je dostrzeżemy, coraz mocniej pragniemy tego, żeby nasza kula pękła. Co takiego musiałoby się stać, jakie kantowskie warunki możliwości musiałby zaistnieć, żeby szklana kopuła się rozpadła? Najkrócej i najprościej, musiałoby dojść do objawienia się Innego. Objawienie się innego może zajść na dwa sposoby. Z jednej strony sami wymyślamy Innego, po to aby od wewnątrz umocnić naszą wspólnotę, aby zjednoczyć jej członków w obawie przez zagrożeniem. Trafnie ujmuje to Bauman:

> Wreszcie można się pozbyć uczucia upokorzenia z powodu biernego przyjmowania razów – wreszcie można zrobić coś realnego i konkretnego, żeby sparować przypadkowe ciosy losu, a być może je nawet udaremnić czy odeprzeć. Gdyby nie było obcych, to – ze względu na nasilanie się niepokojów – trzeba by ich było wymyślić. I wymyśla się ich, czy raczej kreuje, codziennie [...][7].

Kiedy sami Innego wymyślamy, w pewien sposób kontrolujemy cały proces, jest to rodzaj strategii przetrwania. Jednak Inny może objawić się niezależnie od naszej woli, nie kontrolujemy wówczas następstw, to zdarzenie trudniejsze dla życia wspólnoty. Inny nie pojawia się wcale jako ktoś z zewnątrz, jako tradycyjnie ujmowany obcy. Ujawnia się wewnątrz, jako „jeden z nas", będąc jednocześnie „ze wspólnoty", a jednak przecząc jej wartościom. Zawsze był tu z nami, czekał tylko na właściwą okazję, żeby nam to zakomunikować. Byłby to wyraźny sygnał dla naszej wspólnoty skończonej, że jej homogeniczność jest nie do utrzymania. Obserwując dynamiczność – mimo wszystko – otaczającej nas rzeczywistości, oczywista staje się dla nas jej niejednorodność. Ujawnienie się Innego (i inności jako takiej) jest tego ostatecznym dowodem, prowadzi do zachwiania dotychczasowej ontologii, implikując jej rozpad. Pod wpływem takiego doświadczenia wspólnota musi się zdezintegrować. Szklana kula pęka.

---

5 Mam na myśli taką symetryczność jak w relacji Ja i Ty u Martina Bubera. Zob.: M. Buber, *Ja i Ty. Wybór pism filozoficznych,* Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1992.

6 Tego nieco archaicznie brzmiącego pojęcia używam podobnie jak Kroński, ma ono zatem tutaj znaczenie pejoratywne. Kultura wyabsolutniona to kultura w pewien sposób zwyrodniała. Zob. T. Kroński, *Faszyzm a tradycja europejska,* Wydawnictwo IFiS PAN, Warszawa 2014. Zwyrodnienie polega tu na zatraceniu własnego „ja" na rzecz społeczności. Efektem tego będzie uczucie, opisywane przez Fromma, że „człowiek nie jest identyfikowany z szerszą grupą" i – jak twierdzi Fromm – „nie ma rzeczy trudniejszej do zniesienia". Jest to traumatyzm tak bolesny, że „choćby obywatel niemiecki był zajadłym wrogiem zasad hitleryzmu, mając do wyboru między odosobnieniem a poczuciem przynależności do Niemiec, w większości wybrał to drugie". Zob. E. Fromm, *Ucieczka od wolności,* Czytelnik, Warszawa 1993, s. 200–201.

7 Z. Bauman, *Wspólnota*..., dz. cyt., s. 154–155.

Wspólnota niedokończona, czyli co się dzieje, gdy pęka szkło

Indywidualizm początkowo jest odbierany przez nas euforycznie, jak każda nowość. Trochę czasu musi minąć, zanim przećwiczymy wszystkie jego opcje. Dość szybko później zapominamy o przyjemności płynącej ze współdzielenia. Jako ulgę traktujemy brak zobowiązań, większy zakres jednostkowej wolności. To właśnie teraz budując na nowo hierarchię wartości, wolność stawiamy na pierwszym miejscu, odmieniamy ją przez wszystkie przypadki, wynosimy ją ponad wszystko. Kiedyś absolutyzowaliśmy wspólnotę jako taką, teraz już tylko wolność, która pozostaje nietknięta, a nawet ożywiona na gruzach wspólnoty.

Powrót wspólnoty jest jednak nieodwołalny, musi się ona zintegrować na nowo. Wspólnota jest nieunikniona, ponieważ nieuniknione jest ponowne zachwianie ontologicznym bezpieczeństwem (doświadczenie chyba już stałe w warunkach naszej cywilizacji), tak mocno powiązane z uczuciem osamotnienia. Uświadamiamy sobie wówczas (zresztą po raz kolejny), że „dopiero gdy tracimy szansę na ocalenie, odkrywamy, że tratwę ulepiliśmy z bibuły”[8]. Nie jest możliwy powrót wspólnoty w takim kształcie, w jakim ją znaliśmy, doświadczenie jej rozpadu jest zbyt traumatyczne, aby odrestaurować jej dawną formę.

Zamiast tego, co określiliśmy jako wspólnotą skończoną, zaistnieć może „wspólnota niedokończona”. Chodziło by tu o takie relacje wewnątrz wspólnoty, które wymagałyby ciągłej reinterpretacji, ciągłego podważania, udowadniania zasadności jej istnienia. Byłby to zatem taki typ wspólnoty, w której dałoby się zrealizować pewne założenie radykalnych odmian demokracji[9]. Niedokończenie możemy sobie wyobrazić jako układankę z brakującym elementem. Nie dlatego go brakuje, że został zgubiony, ale dlatego, że pozostawia to miejsce na coś nowego, nieoczekiwanego. W takiej strukturze inność zawsze może się objawić (brak inności jest jednocześnie oczekiwaniem jej objawienia się, oczekiwaniem naznaczonym pewnością, że tak się właśnie stanie). Ten brakujący element – to puste miejsce – daje także możliwości do rekonfiguracji całości, oznacza to programową niestabilność struktury. Niedokończenie przy tym nie jest tożsame z otwartością. Otwartość nie oznacza gotowości do transgresji, a raczej pewien plan minimum, osadzający się na niejednoznacznym pojęciu tolerancji, niedokończenie zaś za jeden ze swoich elementów konstytutywnych obiera sobie zdolność do przekraczania dotychczasowych ram. Niemniej jednak celem nie jest tworzenie nowych kategorii pojęciowych, ale rozróżnienie różnego typu aktywności zachodzących w konstelacjach otwartości i niedokończenia. To, co trzeba podkreślić, to nieustanna gotowość, w ramach wspólnoty niedokończonej, do zakwestionowania zasad-

[8] Tamże, s. 67.

[9] Mam na myśli koncepcje chociażby Mouffe i Habermasa. Zob. Ch. Mouffe, *Paradoks demokracji*. Wydawnictwo Naukowe Dolnośląskiej Szkoły Wyższej, Wrocław 2005. Też: E. Laclau, Ch. Mouffe, *Hegemonia i strategia socjalistyczna. Przyczynek do projektu radykalnej polityki demokratycznej,* Wydawnictwo Naukowe DSWE, Wrocław 2007.

ności jej istnienia. Jest to równoczesne szukanie argumentów za i przeciw[10]. Wywołuje to wrażanie ciągle niedokończonej dyskusji.

Implikacje wspólnoty niedokończonej

Powrót na łono wspólnoty jest trudny. Dramatyczny – tak samo jak był jej rozpad. Oznacza bowiem na powrót uczenie się sztuki wyrzeczeń i rezygnacji. Zrezygnować trzeba z tego, co wydaje się być nie do zastąpienia, mianowicie z wolności. Kiedy osiąga ona stan impulsywny, a więc dzieje się w natychmiastowości, ciężko zgodzić się na jej choćby niewielkie uszczknięcie. Jako impulsywna i bezzwłoczna staje się wolność wartością nadrzędną (ale nie staje się taką dzięki impulsywności i natychmiastowości). I jak tu teraz, z własnej woli, dać ją sobie ograniczyć?

Kiedy trzeba było ją poświęcić na rzecz gwarantowanego bezpieczeństwa ontologicznego, decyzja zdawała się łatwiejsza. Ale nasza wspólnota niedokończona z samej swojej natury nie daje żadnych gwarancji. Pozostajemy w niej zagubieni, niepewni przyszłości. We wspólnocie tradycyjnej czy, jak ją tutaj określiliśmy, skończonej – o tym, że „życie nas nie przerośnie", decydowały: rutyna codzienności, jednomyślność w interpretacji, niezmienne rytuały. Jednym słowem „procedury", które były doskonałym narzędziem do definiowania zagrożeń; dawały możliwość ich opisywania, jak również określały to, jak sobie z nimi radzić. Wspólnota niedokończona nam tego nie zapewnia.

Jak już wspomniałem, krytycznym doświadczeniem współczesności, tym współdzielonym przez nasz wszystkich, jest poczucie braku ontologicznego bezpieczeństwa. Nie znajdujemy na to żadnych środków zaradczych. Po co nam w takim razie wspólnota? Mimo wad i rzekomej pozorności naszego projektu wspólnoty wciąż możemy znaleźć w niej jedno. Jeśli wszyscy doświadczamy zachwiania bezpieczeństwa ontologicznego, intersubiektywnie rozumiemy jego dramatyczność, a często tragiczność, to jednego możemy być pewni: że nie spotka nas osamotnienie. Nie zostaniemy sami i mimo że nie liczymy na odzyskanie spokoju, to sam fakt doznawania współdzielenia będzie działał kojąco. Jeśli rozumiemy znaczenie dramatyczności i tragiczności, to współdzieląc te doświadczenia, nie będziemy dążyć do ich pogłębienia, ale złagodzenia. Być może to jednak za mało, ale nic więcej nikt nie jest nam w stanie zaoferować.

---

[10] Podobnie jak czynić musi jednostka „wyzwolona – jak określa to Koczanowicz – z apriorycznego uwikłania w więzi społeczne". Por. *Wstęp,* L. Koczanowicz, *Wspólnota i emancypacje. Spór o społeczeństwo postkonwencjonalne,* Wydawnictwo Naukowe Dolnośląskiej Szkoły Wyższej, Wrocław 2005, s. 13–18.